

Puchacze

Małżonka puchaczowa, męża swego godna,
A więc płodna,
Urodziła sześć sowiąt, puchaczków też nieco;
Zrazu słabe, dalej lecą.
Raz, gdy na zwykłe igrzyska
Ponad puste stanowiska
Nabujawszy się do sytu,
Wróciły do swego bytu,
To jest w dziurę przy kominie.
Pani matka, w córce, synie,
Wnukach, wnuczkach spoważniona,
Przyjmując do swego łona,
Jak ot zawsze panie matki,
Rzekła: „Cóż tam, moje dziatki?
Cóż tam słychać?”
A wiec wzdychać:
„Za naszych czasów wszystko coś szło sporzej,
Teraz raz w rok coraz gorzej”.
W tej tak wielkiej toskliwości
Najmłodsze puchaczątko, faworyt jejmości,
Ozwało się: „Jakoś tylko wylecieli,
Wszystkie ptaki zaniemieli,
W kąty każdy jął się cisnąć,
Żaden nie śmiał ani pisać:
My tylko same bujały:
Cóż tam w krzaczkach ptaszek mały,
Co go to zowią słowikiem,
Odzywał się smutnym krzykiem.
Ale i ten nie śiał mrużyć,
Skoro my zaczęły huczyć”.
Po sercu, jak to mówią, matkę pogłaskało,
Że tak pięknie udało;
Najbardziej, iż pieszczoszek tak dzielnie wymowny.
Myśląc jednak, iż trzeba dać obrok duchowny,

Rzekła: „Choć wasz głos piękny, chociaż lot tak spory,
Uczcie się miłe dziatki i z jego pokory.
Dobrze to jest, iż cudzą ułomność przebacem:
Ne każdemu dał Pan Bóg rodzić się puchacem”.